

Alfons Gdyra

"Medicus" : moje okupacyjne losy 1939-1945

Acta Medicorum Polonorum 2, 51-62

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

„Medicus”. Moje okupacyjne losy 1939-1945

„Medicus”. My life during occupation 1939-1945

Alfons Gdyra

Ostrów Wlkp.

Późną jesienią 1939 r. powracam z Krakowa do pieleszy domowych. Pracowałem tam, po opuszczeniu Cieszyna, na oddziale chirurgicznym Szpitala św. Łazarza u prof. dr. med. Maksymiliana Rutkowskiego. We mgle pozostał obraz pięknego, starego Cieszyna krzyczącego obecnie, zwłaszcza za Olzą, licznymi swastykami. Wspomnieniem równie przykrym jest zburzony pomnik Grunwaldu, który tak bardzo zdobił nasz umiłowany Kraków. Pozostawiłem tam na Rynku Kleparskim zacną rodzinę Leona Wyrwicza, która po tułaczce kilkutygodniowej przyczarowała mnie wraz z kolegą bardzo serdecznie.

W Ostrowie Wlkp. zastałem duże przemiany. Miasto posmutniało – niemczyzna i tu panuje bezgranicznie. Po przyjeździe do mieszkania szwagra mego i matki, połączonych prowizorycznymi drzwiami, nie zastałem nikogo z rodziny. Dowiaduję się, że ponoć zawędrowali aż do Wilna. Zastaję jedynie przywiązaną do nas staruszkę, która kiedyś była gospodynią szwagra. Zajmuje w obszernym mieszkaniu najmniejszy pokój – była służbówką. Czuję się opuszczony i zawiedziony. Kraków opuściłem dla zaopiekowania się rodziną. Dla niej poświęciłem karierę lekarską u boku krakowskiego chirurga.

Rozglądam się bezradnie po obszernym mieszkaniu pełnym pamiątek rodzinnych. Snuje się po nim jak widmo, ze ścian pozdrawiają mnie, jakże drogie, obrazy Antoniego Serbeńskiego oraz Stefana Szmaja. Dla zdobycia środków do życia postanawiam otworzyć gabinet lekarski. Na strychu znajduję stół ginekologiczny, spuściznę po śp. dr. Marianie Poleskim, kilka par rękawic gumowych, stare pojedyncze sztuki instrumentarium położniczego. Do pokoju wstawiam kozetkę oraz żeliwny piecyk, powszechnie zwany cygankiem. Najbliższe dni mijają na organizowaniu prymitywnego gabinetu, tablicy lekarskiej i na rozmowach ze znajomymi ludźmi.

Dowiaduję się, że mój były szef dr Aleksander Dubiski pracuje nadal jako chirurg w Szpitalu Powiatowym. Dyrektorem tymczasowym jest lekarz niemiecki dr Hugon Krug, znany sprzed wojny i powszechnie szanowany. Postanawiam wrócić na etat asystenta – na którym niedawno pracowałem. Zostaje przez dyrektora przyjęty bardzo serdecznie, niestety na krótki okres czasu.

Po 10 dniach przyjeżdża ekipa lekarzy austriackich z Wiednia, dr Kopf – chirurg, dr May – internista oraz dr Fray jako asystent. Mianowany dyrektorem chirurg zgłasza się do dr. Dubiskiego okazując nominację i szczerze się usprawiedliwiając. Chwila jest wysoce denerwująca. Ustąpić musi stary i zasłużony dla instytucji lekarz – po kilkunastoletniej pracy ciężkiej i wyczerpującej. Wiedeńczyk w kulturalny sposób tłumaczy, że działa z rozkazu i sam wie jak przykra musi być sytuacja dla kolegi. Wie także, ponieważ zna stosunki panujące – że pobyt jego nie potrwa długo.

Dr Dubiski, głęboko wzruszony, przybladł na twarzy i opuścił szpital wraz z nami. Biedny nie wiedział, że na skutek donosu jednego z miejscowych Niemców w niedługim czasie zostanie, mimo zapewnień o ochronie, rozstrzelany w Winiarach pod Kaliszem. Zapewnienia o nietykalności wyrażane przez operowanych niemieckich obywateli były bez pokrycia.

Zaczyna się okres szykan w stosunku do Polaków. Wysiedlanie z mieszkań, kradzieże domowe, bicia na ulicach. Do mieszkania mego przy ulicy Fabrycznej 13 przyjeżdża plejada gestapowców. Zabierają firany, meble itd. Rzeczy te mają upiększać ich rezydencje przy ulicy Królowej Jadwigi w domu Morrisona. Stara gospodyni zalewa się łzami, życ mi nie daje i nakłania do pójścia celem odbioru pokwitowania. Wkroczyłem do jaskini lwa, jak mi to później tłumaczono.

Po wyjaśnieniu celu przybycia zebrali się wokół mnie szczerze ubawieni gestapowcy. Oprawdają mnie po mieszkaniu i pytają czy meble dobrze rozmieścili. Jeden z opryszków wypisuje na maszynie pokwitowanie, że wymienione rzeczy zostały nie zabrane, zabezpieczone (*sichergestellt*) z mieszkania szwagra mego adwokata Franciszka Podejmy. Zbiry z trupimi czaszkami na czapkach rechotają radośnie, boć takiego nieświadomego raroga jeszcze nie widzieli.

Praktyka lekarska jest zła, bo ludzie nie mają pieniędzy. W przeważającej części pozostają bez honorarium, jednak na skromne życie wystarcza. Znajomy przywozi mi z Wrocławia walizę porodową z niezbędnymi narzędziami.

Pewnego dnia popołudniu słyszę gwałtowny wybuch, od wstrząsu drżą szyby. Chwilę po tym zjawia się człowiek i prosi usilnie, by pójść do krwotoku przy poronieniu. Mieszka za torami kolejowymi przy ulicy Kościuszki. Bierzemy walizę. Idziemy. Ulica wzdłuż obstawiona przez policję mundurową i gestapowców. Zatrzymują mężczyznę i odprowadzają do Liceum Żeńskiego. Brniemy do choroj nie zatrzymani. Po udzieleniu pomocy wracam tą samą drogą szczęśliwie do domu. Branka trwa do późnego wieczora. Zgromadzonych wywozi się do obozów. Dowiaduję się, że wysadzono tor kolejowy! Przypisano to Polakom, których

aresztowano za sabotaż, dobierając specjalnie inteligentów i byłych wojskowych. W obawie łapanki w dniu tym już z domu nie wychodzę. Ogłasza się nakaz zdawania wszelkiej broni palnej, nabojów, broni siecznej, umundurowań wojskowych i innych oraz radioodbiorników. Nie zastosowanie się grozi karą śmierci. Urządza się sporadycznie rewizje mieszkań w poszukiwaniu wymienionych rzeczy.

Pewnego dnia późnym wieczorem gwałtowny łomot w drzwi zrywa mnie od stołu. Otwieram i widzę czterech uzbrojonych gestapowców zaopatrzonych w siekiery. Każą mi pójść na strych. W świetle latarek elektrycznych stajemy przed zamaskowaną drewnianą ścianą, o której istnieniu nie miałem pojęcia. Opryski rozbijają ścianę siekierami. Słychać donośny odgłos tłuczonego szkła. Okazuje się, że podłoga zastawiona jest porcelaną i kryształami ukrytymi przez jedną z lokatorów domu. Po oświetleniu schowka jeden ze zbirów umundurowanych, skoczył do kata z okrzykiem: „Oh, es ist doch ein Empfänger”. Zadrzałem, ponieważ nic o tym nie wiedziałem i nie mogłem udowodnić swej niewinności. „Tutaj na pewno będzie składnica broni”. „Młody konował (*Tierarzt*) dobrze o tym wie”. Takie padają uwagi.

Na moje szczęście znaleziono jedynie patefon walizkowy, zamiast radioodbiornika. Złożone były także ubrania, suknie i wiele par butów. Naklejono pieczęcie czyniąc mnie odpowiedzialnym za ich całość pod karą śmierci. Kilka dni później lokatorzy słyszą buszowania po strychu i widzą osobników wynoszących nocą pakunki. Zaniepokojony piszę wniosek do tajnej policji z prośbą o zabranie ze strychu rzeczy, względnie zdjęcie pieczęci, ponieważ nie mogę przy pracy lekarskiej terenowej nimi opiekować się. W efekcie mam po tygodniu znowu w porze nocnej wizytę uzbrojonych panów. W ich rękach tkwi moje doniesienie, którym machają mi przed nosem. Wykrzykują o bezczelności polskiego „weterynarza”, który to ich o kradzież posadza. „Sie werden über die Grenze fliegen!” Paradoksem jest właśnie to, że ich pogrożka jest moim największym życzeniem. Po kilku minutach krzyku ugodowo wrzucają moje doniesienie do rozpalonego pieca i wychodzą. Chodziło im przecież o zniszczenie dokumentu, który mógł dla nich mieć nieprzyjemne następstwa.

Nazajutrz po wizycie, stara gosposia przyznaje, że jest niespokojna, ponieważ na terenie mieszkania przechowała dla swego ukochanego pana mecenasa dwie szable oficerskie i rogatywkę wojskową, które to rzeczy ma zamiar wręczyć po jego powrocie. Z powodu zatajenia przede mną sprawy chce spalić czapkę, a szable wynieść z domu. Wysuwa je spoza rur kanalizacyjnych – kładzie pod swe długie spódnice i z lekkim pobrząkiwaniem wnosi gdzieś w pola pod Wysocko. W jakiś czas później urządzono dokładną rewizję mieszkania z zaznaczeniem, że za broń, nawet pojedynczy nabój znaleziony grozi Polakowi kara, jak zwykle tylko, śmierci. W tym okresie spotkałem się po raz pierwszy z człowiekiem, który dużo zaważył na moim losie oraz mieszkańców Ostrowa.

Był to Piotr (nazwijmy go Siwiński), były zawodowy sierżant artylerii. Człowiek inteligentny, rzutki – pozornie patriota. Syna wychowuje świadomie na dobrego

Polaka. Od pierwszych dni bywa w moim domu i zaskarbia sobie duże zaufanie. Pieczołowicie przechowuje swoje pamiątki wojskowe, w rozmowach daje wyraz głębokiej nienawiści do okupanta.

Jest magazynierem niemieckiego przedsiębiorstwa przy ulicy Odolanowskiej. Włada płynnie językiem niemieckim w mowie i piśmie. „Jak konie artyleryjskie wiązałbym ich u żłobu, raz dziennie dawał obrok i bił...” Tak mówi o Niemcach! Bez nocnej przepustki udaje się rowerem po godzinie policyjnej do domu. Twierdzi, że nie boi się, ponieważ bocznymi drogami czmycha. Tak zdobywa pan Piotr zaufanie swoich ziomeków, które gorzko w przyszłości opłacono. Drugą podejrzaną osobą w opinii publicznej jest Dąbrowski vel Eichner, właściciel sklepu damskich kapeluszy. Ma romans z polską sprzedawczynią, z którą później ucieka do Niemiec, pozostawiając żonę z dziećmi. W moim pojęciu był to człowiek niezły, ponieważ współpracował z gestapo zupełnie jawnie, a nawet zmienia swe czyste polskie nazwisko na Eichner. Na oczach całego miasta jeździł autem z policją, czyni to otwarcie. Niekiedy bezinteresownie dopomaga, zdradza tajne zarządzenia. O osobach tych wspomnę jeszcze w odpowiedniej chwili.

Pewnego dnia otrzymuję nakaz opuszczenia mieszkania przy ulicy Fabrycznej i przeprowadzenia się na ulicę Gimnazjalną 10. Mam przyjmować także chorych ubezpieczonych we wszystkich Ubezpieczalniach Rzeszy. W Ostrowie jest oprócz mnie najmłodszego, jeszcze dr Antoni Karbowski oraz dr Jan Wojtkiewicz, który zginął później w Radogoszczy. Przewodniczącym lekarskim jest zasiedziały lekarz niemiecki dr Hecke. Zarządza on całotygodniowy rozkład dyżurów nocnych, przydzielając ustalony dzień poszczególnym lekarzom. Dyżury te były raczej problematyczne, bo żaden z polskich lekarzy nie mógł odmówić wizyty nocnej, gdy niemieckiemu koledze nie chciało wstać się z łóżka.

W tym właśnie okresie nasz przedwojenny kolega, dr Jan Stankiewicz, wpisuje się gorliwie na Volkslistę i wstępuje do NSDAP. Pełnił on dyżur środowy. Lubiący przez nas dr Hecke wydrukował rozkłady dyżurów i osobiście je poroznosił. W wykazie tym widniało nazwisko dr Stankiewicz. W kilka dni później otrzymaliśmy od Stankiewicza nowe wykazy – gdzie już wydrukowano dr. Johann v. Stankevitz. Żona tegoż lekarza oznajmiła mi, że przez cały okres międzywojenny czuli się zawsze w polskiej niewoli. Swastyki ze swego balkonu w Rynku nie zdejmował przez okres sześciu miesięcy i tak przelicytował Landrata oraz burmistrza. Wiem, że zwracał się do dr. Mruga i dr. Hockego, prawdziwych i sprawiedliwych ostrowskich Niemców, aby założyli Niemieckie Towarzystwo Lekarskie. Odpowiedzieli, że nie widzą powodu ku temu, ponieważ oni dwaj nie wystarczają do tego.

Z gorliwością renegata wątpliwego rozmawiał ze mną, u siebie w mieszkaniu, ten były kolega, tylko po niemiecku, wiedząc o tym, jaką trudność mi to wówczas sprawiało.

Pracy mam obecnie bardzo dużo. Przyjmuję przeciętnie 30-40 chorych w gabinecie lekarskim. Codziennie kilka odległych wizyt na wsiach, odbywanych zwy-

kle jednokonną furmanką. Dzień jest szczerze wypełniony i nie ma minuty do stracenia. Z jaką ulgą człowiek oddychał, gdy przyjechano parą koni! Co za kolosalna oszczędność czasu!

Sytuacja poprawiła się, gdy kupuję mały motocykl Sachs'a 100 cm. Jeżdżę teraz z szybkością 30 km/godz., a wizyty, które zabierały mi 3-5 godz. czasu załatwiam obecnie w 2 godziny. Do poronień jeżdżę z żoną. Wiezie ona na kolanach sterylizator szczerze opakowany z jałowymi narzędziami. Ileż było wywrotek na leśnych czy polnych drogach.

Praca jest naprawdę ciężka i denerwująca. Mam szalone trudności z umieszczeniem w szpitalu ginekologicznych i położniczych przypadków. Po śmierci nagłej na sali porodowej dr. Ansbacha, lekarza „z sercem”, objął ordynaturę dr Dorton, lekarz bałtycki, znany „polakożerca”. Stereotypowe pytanie: „Polka czy Niemka?” „Brak miejsca.” Wrota szpitalne zamykają się bez dyskusji. Nieraz pozostawałem na ulicy z przypadkiem wymagającym operacji czy cięcia cesarskiego.

Kilkakrotnie wykorzystuję wstawiennictwo młodszego kolegi niemieckiego, obecnie urologa w Rostocku, prof. dr. med. Willego Sinnera. Służył wówczas w marynarce wojennej. Na moją prośbę powagą swego munduru oficerskiego umieszczał zawsze operacyjną położnicę w szpitalu. Zdarzają się przypadki, że wspólnie z dr. Henso, uczciwą Niemką, wieziemy jej samochodem położnicę aż do Kalisza, gdzie zwykle takie przypadki przyjmują. Lekarka ta daje zawsze samochód bezpłatnie i wyklóca się ze mną, wstydząc się swoich niemieckich kolegów, by mogła chociaż częściowo partycypować w opłacie szpitalnej, którą zwykle sami uiszczaliśmy. W tych właśnie najcięższych przypadkach, nie podziękowano nam ani słowem.

W 1941 r. bodajże w czerwcu zaproszono także polskich lekarzy na zebranie Izby Lekarskiej Łódzkiej, które odbyło się w Kaliszu w sali ratuszowej. Wchodząc na schody, zobaczyłem starszego rangą oficera gestapo, podnoszącego w pozdrowieniu prawą rękę i mówiącego: „Heil Hitler, Herr Kollege”. Oczom nie wierzę, boć to dobry i bliski kolega ze studiów, Waldemar Schneider, łodzianin. Ileż studenckich wieczorów spędziliśmy razem! Odwiedzał swoją sympatię mieszkającą w tym samym mieszkaniu, w którym ja mieszkałem. W takim samym mundurze zebranie otwiera drugi nasz kolega, także z Łodzi, dr Mees. Nie szukam zbliżenia i oszołomiony opuszczam Kalisz.

W listopadzie 1941 r. dyrektor miejscowego szpitala i chirurg dr Walter Cleemann donosi mi pismem z dnia 14.11.1941 r., że po porozumieniu z Izbą Lekarską muszę przejąć wszystkich polskich podopiecznych z zakresu małej chirurgii. Pismo ma charakter polecenia. Przydzielono mi od sąsiadów dodatkowy pokój, celem urządzenia małej sali operacyjnej, oczywiście na koszt własny. Angażuję siostrę zakonną zwolnioną z sali operacyjnej szpitala, dokupuję dalsze narzędzia i aparaty fizykoterapeutyczne i praca rusza w moim „Ambulatorium Chirurgicznym”, czynnym do końca wojny. W przyjęciach chorych i zabiegach pomaga moja żona. Chorzy zadowoleni z polskiej obsługi – znają nas przecież

z czasów przedwojennych, kiedy to pracowaliśmy w szpitalu pod kierownictwem szefa, śp. dr. Dubiskiego.

Kłopotliwa jest zwyczajka liczbowa chorych Niemców, którzy w zasadzie winni się leczyć u lekarzy niemieckich, a których nie można było się pozbyć. Łatwo można było wejść w kolizję z władzami, ale równocześnie odmowa pomocy mogła być fałszywie komentowana.

Dla dalszego ułatwienia pracy kupuję używany samochód Opel-P4, zwany Adamem. Służy mi ten kochany, mocny dyliżans do końca wojny. Z garażem kłopotu nie miałem, bo za drobną opłatą i wódkę zbudowała go z przygotowanych segmentów drewnianych „szara eminencja” firmy budowlanej – Piotr – w ciągu niedzielnego popołudnia.

Czasy coraz więcej gorące. Ogłasza się szkolenie przeciwlotniczej obrony dla Polaków. Ja prowadzę naukę pierwszej pomocy w wypadkach nagłych – obronę przeciwpożarową prowadzi Piotr. Pewnego dnia wieczorem, przy obowiązującym zaciemnieniu, wchodzę po schodach wejściowych do szkoły przy ulicy Gimnazjalnej. Tam odbywały się wykłady. Na moment oświetlam drogę przyćmioną lampką elektryczną i o dziwo spotykam Piotra, w długich butach, czarnych bryczesach, w postawie na baczność. Stuka obcasami, podnosi rękę i pozdrawia mnie: „Heil Hitler”. Śmieje się niemile zdziwiony, a on zawsze trzeźwy udaje, że tylko ze mnie zażartował. Powstaje u mnie cień nieufności. Zaczynam się obawiać, ponieważ człowiek ten był niejednokrotnie świadkiem tajemnych rozmów i mógł dużo powiedzieć!

Na najbliższym zebraniu tajnego komitetu obywatelskiego omawiano różne sprawy. Tłumaczyliśmy jednemu z panów, że jeszcze nie czas myśleć o planie przyjęcia wojsk alianckich na terenie miasta Ostrowa – toż – to dopiero rok 1942! Pytam o opinię w sprawie Piotra. Otrzymuję odpowiedź, że nie mają żadnych dowodów przeciw jego osobie – jednak radzą ostrożność. W obawie „wpadki” postanawiam zachowywać ostrożność wobec jego osoby. Przecież już dwukrotnie zabierano mnie jako zakładnika na okres 10-dniowy. Makabryczne te pobyty umiłał nam w więzieniu ostrowskim pogodną gawędą stary i ogólnie szanowany Michał Kałwiński.

Jakże ciężkie i wyczerpujące były te dni w zapluskwionych celach więziennych. Rano wstawałem zupełnie obrzęknięty i wymęczony, przez całą noc moje ręce rozgniaty roje pluskiew, błędzących po mym ciele. Na szczęście w tym okresie nie zdarzył się żaden akt sabotażu, nawet sfingowanego. Wyszliśmy cało z opresji.

18 grudnia 1942 r. popołudniu, odwiedza mnie Piotr i ku mojemu zdziwieniu ofiarowuje mi większą ilość papierosów oraz karty przydziałowe na tytoń. Wylewny, tłumaczy, że to już niedługo, że znowu będzie Polska. Teraz stawiam już jego przewidywania w powątpiewanie.

Nazajutrz wieczorem podchodzę do okna i widzę podjeżdżającą limuzynę z przygaszonymi światłami, z której wychodzi czterech osobników. Wiem już, że to po mnie. Pytają o moją tożsamość. Potwierdzam ją i zaraz słyszę nakaz pójścia

z nimi. Zatrząskują się za mną drzwi limuzyny. Wysadzają mnie przed barakiem karnego obozu pracy. Jest godzina 23.00. Roi się od gestapowców z psami i policji mundurowej. Wprowadzają do baraku, w którym widzę wielu znajomych stojących z twarzą do ściany z podniesionymi rękami. Samochody zwożą bez przerwy dalszych nieszczęśliwców. Po kilku godzinach opuszczamy barak – biegniemy poprzez szpaler gestapowców uzbrojonych w pejcze i wskakujemy do samochodu ciężarowego pokrytego brezentem. My zajmujemy połowę samochodu, druga uzbrojeni w automaty czterej gestapowcy.

Ruszamy... Po odgłosie dobrze ułożonej kostki poznaję, że jedziemy drogą kaliską. Czy na przesiąkniętą krwią Winiary...? Mijamy Kalisz i droga wiedzie dalej. Na prośbę o zatrzymanie wozu – celem oddania moczu – odpowiedzią jest świst pejców i donośne śmiechy eskorty. Bezradni oddajemy mocz pod siebie, przymarzając natychmiast do podłogi wozu. Jeden z towarzyszy niedoli użył do tego celu kapelusza, a mocz kroplami zamarzającymi spływał po jego twarzy... Smutna ta podróż w przededniu Świąt Bożego Narodzenia... Wreszcie dobiegamy do Łodzi. W brzasku budzącego się dnia ulica obstawiona umundurowaną policją! Gwar, wyzwiska, kopniaki.

„Est sind ganzge färliche Verbrechern!“ krzyczą wszyscy na wychodzących z wozu i znikających w bramach więziennych brańców. Po kąpieli, celem uniknięcia wzajemnego porozumiewania się, przydziela się dla nas cele izolowane, zamieszkałe przez obcych więźniów. Po wejściu do mojej celi, w której jest 12 więźniów, jeden z nich rzuca mi się na szyję. Okazuje się, że spotkałem przyjaciela ze studiów, lekarza ze Zgierza. Przygarnia mnie do siebie i pociesza jak może. Urodzony w Berlinie stawiał opory w podpisaniu Volkslisty!

Znajduje się tu także Żyd, konfident o nazwisku Rapaport. Co kilka dni zgłaszał wyjście i znikał na kilka godzin, aby składać sprawozdania. Jest szlachetny 18-letni chłopiec wiejski spod Łodzi, który pozwala się aresztować za zakopanie radia. Nie zrobił tego, jednak sprawca czynu, własny brat, jest żonaty i ma kilkoro dzieci! Bity i maltretowany przyznał się na koniec do wszystkiego, by ująć dalszym torturom. W myśl życzeń katów przytakiwał, że składał przysięgę w oborze i że należał do ZWZ. Poświęcenie swoje uważał za rzecz naturalną i dlatego budził u nas szczery podziw.

Codziennie kilku z naszej grupy wzywa się na przesłuchania. Wyjeżdżają „suka” do Centrali na kilka godzin. Na moją kolej czekam aż 3 tygodnie. Po przewiezieniu wprowadzają na długi korytarz, ustawiają nosem do ściany, z podniesionymi na kilka godzin w górę rękami. Zza mnogich drzwi słychać łomoty, jęki i krzyki. Ma to zmiękczyć czekających delikwentów. Przypominam sobie słowa zmasakrowanego Feliksa Ograbka w przejściu na korytarzu więzienia, kiedy to szepnął mi: „Niech się pan do niczego nie przyznaje”. Czy kilkakrotnie torturowany sam się już dawno nie przyznał?

Wreszcie kolej na mnie. Przesłuchuje mnie dwóch. Jeden z nich ma twarz spuchniętą i żąda porady lekarskiej, którą uzyskuje. Przedstawiają mi fotografie

Ograbka i twierdzą, że co miesiąc wpłacałem na jego ręce pieniądze dla Organizacji. Krzyczą i wrzeszczą, ale nie biją. Właśnie tę sumę, 70 marek, przysyłałem co miesiąc ciotce, wdowie do Grabowa n/Prosna, co potwierdzały przekazy pocztowe. Piotr – tylko Piotr mógł im to powiedzieć! Ta myśl uporczywie krążyła w mym mózgu. Przecież nie raz opowiadał mi poufne rzeczy z pośród aresztowanych. Zważyłem w swój los – ponieważ nie wiem, czy ten „patriota” nadal i uporczywie będzie mnie obwiniał. Swoje zeznania podpisuję i po kilku godzinach wracam do celi.

Za 10 dni wywołują ośmiu z naszej grupy i zwalniają do domu z pogrózkami, że wszystko o nas wiedzą. Mamy się strzec, bo następny raz nie będzie tak szczęśliwy. Wracamy do domu, wynędziali mużmanie. Przez ten krótki okres czasu straciłem na wadze około 20 kg. Wikł więźnia był straszny – prawie bezkaloryczny. Tęskniliśmy za mikroskopijną porcją spleśniałego masła i zielonego, wydawanego jeden raz w tygodniu. Kradliśmy spod śniegu na przechadzce listki zgniętego jarmuzu.

Po powrocie do Ostrowa zaważwał mnie do siebie dr Heimlich na rozmowę. Proponuje mi z miejsca 10 dni urlopu i z zakłopotaniem tłumaczy, że nie miał na moją sprawę wpływu, działało przecież gestapo. Zjawia się także Piotr i beczelnie przynosi 1 kg masła dla przeprowadzenia kuracji wzmacniającej. Jak zawsze jest butny i pozornie do Niemców wrogo ustosunkowany. Wiem przecież, że właśnie on był sprawcą naszego nieszczęścia i dlatego muszę grać komedię. Prosi mnie nawet jako świadka na swój ślub cywilny! Z odrazą muszę przyjąć jego zaproszenie.

Za dwa dni zjawia się wspomniany już Eichner, który ostrzega, abym był bardzo ostrożny. Zawodowy sierżant udał się do policji z gotową listą Polaków z tajnej organizacji, jednak zastrzegł, że wyda ją jedynie przedstawicielowi Gestapo Centralnego z Łodzi.

Mówił, że należy teraz zerwać wszelkie kontakty, ponieważ jestem obecnie pilnie obserwowany. O ile uczciwszy był od Piotra ten konfident, u którego istniała jeszcze resztką wdzięczności za leczenie całej jego rodziny! Powiedział mi jeszcze, że nie istnieje obawa wyrzucenia mnie z mieszkania i wywiezienia, ponieważ mnie jeszcze potrzebują.

Życie toczy się znowu nadal starym trybem. Pracy dużo, a poczekalnia pęka w szwach. Pracę odpowiedzialną położnika wykonuję niejednokrotnie w warunkach strasznych. W odległych wsiach na słomie, na stołach kuchennych, bez asysty dokonywać muszę ciężkich zabiegów położniczych, jak obroty, rewizje macicy, rozległe szycia krocza. Roztwory soli fizjologicznej przygotowuję nieraz na miejscu i stosuję jako infuzje podskórne. Nieraz jedynym oświetleniem jest pojedyncza świeca! Mimo złych warunków, w dobie bez antybiotyków, efekty pracy zjednują mi uznanie u podopiecznych. Ciekawe, że leczą się też u mnie przodujący Niemcy. Rodziny oficerów policji, zwłaszcza Austriaków, a nawet rodziny gestapowców!

Rokita, wysokiej rangi oficer SS i jego rodzina leczyli się u mnie. On sam czyni drobne przysługi niektórym mieszkańcom Ostrowa. Wrażenie robi niezłe, choć nieraz uderzy w twarz Polaka za zaniechanie ukłonu przed jego mundurem. Prze-

cież Polak nawet z chodnika winien zejść na jezdnię, widząc insygnia władzy! Rokita zna dobrze język polski, bo w czasach międzywojennych grał jako skrzypek w kawiarni „Europa” należącej do Niemca Klatta. Grał także w Warszawie w „Polonii”. Już wówczas miał rolę wyznaczoną ściśle!

Wątpliwą dobroć serca podważają wiadomości rozsiewane o nim, jakoby był naczelnikiem obozu koncentracyjnego dla Żydów na Wschodzie. Przywozi do domu całe stoje złota zrabowanego Żydom. Obecnie czytałem pamiętnik jednego z więźniów obozu, w którym opisuje Rokitę jako niebywałego siepacza. Wracających z pracy więźniów witał z pejcem u bram obozowych i katował biedaków nie mogących śpiewać. Rodzina jego strzelała do biedaków jako do żywego celu, by zadowalać swe sportowe ambicje.

Pokrywa się to z tym, co osobiście słyszałem od niego, gdy pytał się już pod koniec wojny o swoją opinię wśród Ostrowiaków. Na moje wykrętne odpowiedzi, że przecież dużo dla nas robi dobrego, odpowiada: „Może w krytycznej chwili Ostrowiaczy nie zrobiliby mi krzywdy, ale tam... rozszarpano by mnie...”. Dla asekuracji w ostatnich miesiącach otaczał się Polakami. Wiem od znajomej Niemki, że spotkała Rokitę po wojnie w Hamburgu. Żył pod fałszywym nazwiskiem, a do starego przyznał się po dłuższych naleganiach. Nazajutrz znikł jej z oczu!

W krytycznych czasach proponuje mi przewiezienie do Generalnej Guberni, twierdząc, że w Ostrowie nie ma wyboru i musi w razie zamieszek brać właśnie mnie za zakładnika. Odmawiam i trwam na stanowisku w nadziei, że jednak w Ostrowie doczekam utęsknionej Polski. Wielu znajomych o rdzennie polskich nazwiskach zapisuje się na Volksliście. Robią to dla ratowania swych majątków. W przeciwieństwie do nich obywatele o nazwiskach niemieckich i ewangelicy trwają uporczywie mimo nalegań w polskość! Do nich należy mgr farmacji Wilhelm Wink, który uporem swoim zyskuje szczerze uznanie nawet u niektórych Niemców. Ukoronowaniem jego uporu była wywózka na prace przymusowe w Niemczech.

Wolne wieczory spędzamy na lekturze gazety „Das Reich”, gdzie Goebels wysiła się w propagandzie „ruchu” i wielkości Rzeszy. Wielu spraw doczytujemy się między liniami, w chwilach gdy śledzimy mapę działań wojennych. Widzimy, że „planowane wycofywanie się” łamie linię frontu i zatraca jej stabilność. Dyskusje, bez końca, trwają do późnych godzin nocnych. Poza tym czas umiła nam patefon i bogaty zbiór płyt muzyki klasycznej. Innych rozrywek kulturalnych nie mamy. Wszędzie napisy „Nur für Deutsche”. W kinoteatrach, w parkach, nawet na bramach kościoła katolickiego! Polak nic nie znaczy, odmawia się mu człowieczeństwa, bo to podczłowiek – „Untermensch!”

W mniemaniu, że to Polak, pobito dotkliwie za zaniechanie ukłonu starego, jakże kochanego przyjaciela Polaków – lekarza niemieckiego dr. Kruga. Widziałem sińce na twarzy po jego powrocie do domu. Strapiony tłumaczył się upadkiem na ulicy. Nie nosił oznaki w klapie marynarki! Czasami udaje mi się zwolnić kilka osób od prac przymusowych. Pomaga mi nieraz niemiecki lekarz dr. Hecke

oraz wspomniana już dr Hense, która była do nas bardzo przychylnie nastawiona. Robiła dużo dobrego, zwłaszcza, gdy zastępowała lekarza powiatowego. Wówczas nagminnie stwierdzała gruźlicę płuc u podstawionych pacjentów i zwalniała ich od wysyłki.

Atmosfera staje się napięta i nerwowa. Udziela się to także społeczeństwu polskiemu. Widzi się wyzwolicieli objuczonych i odjeżdżających. Kłopoty z benzyną do samochodu są małe, ponieważ za samogon Niemiec szoferzy wojskowi sprzedaliby diabła. W transakcjach dzielnie pośredniczy Robert Maroszek, narażając się, ponieważ za barwione paliwo wojskowe kupione „pod ręką” grozi kara śmierci. Taka sama grozi za zabicie świni, za flirt z kobietą niemiecką, sprzedaż mięsa bezkarkowego.

Polacy od dawna mają już oznakowane rowery. Ułatwia to policji ściganie sprawcy w razie drobnego przewinienia i egzekwowanie kary na miejscu. Prawnie mamy żadnych. Alarmy lotnicze powtarzają się coraz częściej. W myśl zarządzenia stawiam się w szkole przy ulicy Wrocławskiej. Z dumą patrzę na przelatujące liczne eskadry ciężkich bombowców alianckich, które z głębokim pomrukiem dążą na Niemcy. U lekarzy niemieckich i personelu średniego widzę strach w oczach i zdumienie, że ci słabi wrogowie aż tak bezkarnie wobec niemieckiej potęgi sobie poczynają. Przecież dr Goebels pisał co innego! Jest to widomy znak załamywania się ich potężnej ojczyzny. Srebrne ptaki nadal majestatycznie mijają nas w drodze na niemieckie centra przemysłowe.

W związku z akcją podziemia aresztowano w Poznaniu dr. Witaszka, znanego bakteriologa oraz jego braci. Miasto nasze jest wstrząśnięte zwłaszcza na wieść o jego śmierci. Ostrów traci dzielnych swych synów! Zarządzenia Izby Lekarskiej są w stosunku do Polaków bezwzględne.

Dyscyplina zwolnienia chorobowego zostaje wprost chorobliwie zaostrzona. Przekazywanie do szpitali Polaków ograniczone do absurdu. Pobyt w szpitalu Polacy wykorzystują na wypoczynek i lenienie się od pracy. Tak mówią okólniki Izby i władz miejscowych.

Mam zatarg z chirurgiem i dyrektorem szpitala dr. Walterem Cleemanem. Jest on członkiem grupy SS. Dotąd wyczuwałem u niego pewną dozę sympatii dla mnie, mimo że był politycznie mocno zaangażowany. Sprawa wygląda następująco: zjawia się u mnie chory ob. Szczepanek, robotnik – późniejszy pierwszy po odrodzeniu Starosta ostrowski. Ma zdecydowaną sprawę nowotworową wargi dolnej, z przerzutami do gruczołów. Daję mu 3 dni zwolnienia z pracy i przekaz na oddział chirurgiczny szpitala. Do szpitala nie został zaraz przyjęty, a chirurg doniósł mi, że postąpiłem źle dając zwolnienie z pracy w trudnych dla Niemiec warunkach. Człowiek ten mógł jeszcze kilka dni pracować i dlatego zmuszam jego jako chirurga do złożenia doniesienia na mnie. Sprawę uznaje jako sabotaż i oddaje do gestapo.

Byłem zdumiony i przestraszony. Odpisuje i tłumaczę mu, że przecież sam stwierdza sprawę chorobową groźną, więc zwolnienie miało uzasadnienie. Od-

pisuje ponownie, że to sprawy nie zmienia i pozostaje faktem, że człowiek ten nie pracował. Nie może uznać tłumaczenia i złożyć doniesienie. Donos został wysłany na szczęście kilka dni przed ewakuacją Ostrowa przez Niemców i tylko dlatego uniknąłem jego tragicznych następstw. Odpis tego dokumentu znalazłem w kancelarii szpitala po objęciu jego kierownictwa.

Piotra nie ma od dłuższego czasu w Ostrowie. Pewnego dnia dokonano zamachu na jego osobę w bramie przedsiębiorstwa. Zamachowiec, na rowerze, zastrzelił człowieka z wysiłkiem, byłego przedwojennego sierżanta, niewinnego, ob. Stawika. Tragicznie, omyłkowo zastrzelony pozostawił kilkoro dzieci, a Piotr został tej samej nocy przeniesiony służbowo do Halle na stanowisko pisarza w polskim obozie robotniczym. Piotr wytłumaczył żonie, że przenosi się, ponieważ AK spowodowało zamach dlatego, że on sam wystąpił z organizacji.

Następuje wreszcie dzień wyzwolenia. Sąsiad mój woła mnie, by pójść powitać rosyjskie czołgi. Biorę teczkę lekarską i wychodzę. Oniemiałem jednak kiedy na klatce schodowej spotkałem żołnierzy niemieckich, którzy nakazują mi pójść ze sobą. Przerażony idę, między nimi, ul. Szpitalną w kierunku Wrocławskiej, widzę, jak ludzie wiwatują wokół czołgu radzieckiego stojącego na Rynku. Na ul. Kolejowej w bramach domów porozstawiana w pełnym rynsztunku kompania wojska niemieckiego. Sprawa się wyjaśnia. Wprowadzają mnie do mieszkania prywatnego na ul. Koszarowej, gdzie leży ich kolega z postrzałem brzucha. Zakładam opatrunek i daję skierowanie do szpitala. Opuszczam prędko mieszkanie i za kilka minut widzę jak Rosjanie gonią uciekających bez walki Niemców. Tragedię przeżytej sytuacji poznałem dopiero po namyśle. Jedna seria z broni maszynowej wystarczała, abym zginął wśród Niemców, nie doczekawszy upragnionej wolności.

W kilka dni później mieszkanie moje zamienia się w szpital. W nocy przywieziono mi 12 rannych żołnierzy radzieckich. Ciężko rannych jest trzech – nadających się tylko do amputacji kończyn, z powodu dużych zmiężdżeń i grożącej zgorzeli. Mieszkanie moje wygląda jak jatka. Pracujemy przez całą noc, pomagamy nam dzielnie ubrany w biały płaszcz spawacz z Fabryki Budowy Wagonów.

Vis à vis, w gimnazjum męskim urządzone prowizoryczną salę chorych i tam przenosi się operowanych, pod opiekę PCK. Organizacją pomieszczenia zajęła się Eleonora Chmielowa. Napływają także ciężko ranni Polacy. Praca wre, opatrunki mego skromnego gabinetu kończą się powoli, materiał się wyczerpuje. Po 2 tygodniach otrzymuję, za pośrednictwem szefa szpitala wojskowego, list pochwalny od Dowódcy Dywizji. Nazajutrz, po naszej krwawej pracy przejmuję i organizuję Szpital Powiatowy w Ostrowie. Przywożę wyposażenie sali operacyjnej i narzędzia, wywiezione i porzucone przez Niemców w okolicy Kępna.

Pierwsza obsada lekarska to ja sam pełniący funkcję chirurga, położnika i dyrektora, a następnie dr Edmund Straburzyński, jako internista oraz zamieszkały obecnie w Gdyni, okulista dr Stefan Szmaj. Administracją szpitalną zajmuje się ob. Miłosz Bąkiewicz. Praca wre do czasu mej mobilizacji jako chirurga frontowego II Armii.

Rozmyślając nad koszmarnym okresem niemieckiej okupacji, który był doskonałą szkołą praktyki lekarskiej dla młodego medyka, nie mogę wprost uwierzyć, że wśród kilku osób, z którymi się spotkałem, musiał znaleźć się konfident – Polak, zupełnie wyzuty z czci. Losy jego potoczyły się po linii pochyłej. Po zakończeniu działań wojennych miał czelność wrócić na Ziemię Zachodnie i pod Wrocławiem, w jednym z miasteczek, został burmistrzem. Napotkał go na peronie we Wrocławiu milicjant z Ostrowa, który go poznał i aresztował.

Proces odbywał się w Sądzie Okręgowym w Ostrowie – przy wypełnionej sali. Znalazła się jegoteczka personalna, przypadkowo z gestapo z Łodzi, w której w superlatywach wyrażano się o nim i jego zasługach. Okazało się, że po zamachu gestapo przeniosło go, jako pisarza, do polskiego obozu, by i na tym terenie wykazywał dla nich dalszą działalność dla dobra Niemiec. W toku rozprawy wykazywał butę i bezczelność... Wyrokiem Sądu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej skazano go na karę śmierci przez powieszenie. Sprawiedliwości stało się zadość.